NR. 4 28 STYCZNIA 1905 R.

Polak w Brazylji
Dodatek Illustrowany

Nowy Jork.

—o—

Nowy Jork jest bezprzecznie jednym z największych miast na kuli ziemskiej. Łącznie z Bruklinem i przedmieściami Dżersej Czity i Niukart, Nowy Jork ma przeszło 3 i pół miljona mieszkańców. Właściwy Nowy Jork oddzielony jest od Bruklinu cieśniną morską nazywającą się East River. Przez tę cieśninę przerzucony jest most wiszący 1,053 metry długi: spód mostu podniesiony jest nad poziom wody w cieśninie na wysokość 40 metrów. A więc nawet duże statki swobodnie pod nim przepływać mogą.

Most ten przedstawiony jest na naszym rysunku, na którym dokładnie widać biegnące górą liny drutu stalowego. Na tych linach cały most jest zawieszony. Są one umocowane dolnemi końcami w mocnych wmurowanych w ziemię filarach, później przechodzą górą przez szczyty dwóch wież murowanych i wiszą wpoprzek całej szerokości cieśniny. Jak widać na rysunku, liny w środku mostu są znacznie opuszczone ku dołowi, sam most zaś w środku jest nieco uniesiony ku górze. Most zawieszony jest na linach przy pomocy szeregów prętów stalowych od lin ku mostowi zwierzających się.

Most między Nowym Jorkiem i Bruklinem ukończony został w 1885 roku, a kosztował 20 miljonów dolarów.

Nowy Jork nie jest stolicą rządu Stanów Zjednoczonych, stolicą jest Waszyngton, ale jest prawdziwą stolicą handlową całego państwa. Posiada on bardzo duży i doskonale urządzony port, do którego rok rocznie tysiące okrętów zajeżdża.

Nowy Jork, jak prawie wszystkie miasta Stanów Zjednoczonych rozwijał się i wyrastał niezmiernie szybko. Można śmiało powiedzieć, że Nowy Jork powstał w ciągu kilkudziesięciu lat. Co rok kilkadziesiąt tysięcy europejskich emigrantów osiedla się w Nowym Jorku.

Do osobliwości Nowego Jorku należą niezmiernie wysokie domy, niejednokrotnie liczące przeszło 20 pięter. Najwyższy dom w Nowym Jorku ma 117 metrów wysokości. Jest to najwyższy dom mieszkalny na całym świecie. Tak bardzo wysokie domy, oczywiście są nadzwyczaj brzydkie ; nazwano je „drapaczami nieba".

Są one zbudowane na szkieletach czyli rusztowaniach z żelaznych lub stalowych belek. Nie zawsze jednak są one trwałe i bezpieczne, czego dowodzi niedawno otrzymana wiadomość o zwaleniu się hotelu Darlingtona w Nowym Jorku; dom ten nie był jeszcze skończony, gdy nagle, przy budowaniu jedenastego piętra gmach runął, grzebiąc 50 robotników.



DRAPACZ NIEBA.

Runięciu rusztowania, składającego się z tysiąca sztab i belek stalowych, z gotowych już części murowanych, towarzyszył tak ogłuszający, przeraźliwy huk, że mieszkańcy okoliczni sądzili, iż trzęsienie ziemi nawiedziło Nowy Jork. Pospieszono na ratunek, 17 robotników wyciągnięto z pod gruzów martwych zmiażdżonych i zgniecionych na masę bezkształtną. Inni ciężko ranieni. Prócz tego jedna część budowli żelaznej przebiła dach przyległego domu, który był niższy i zabiła na miejscu syna właściciela tego domu, oraz bawiącą wtedy w odwiedzinach żonę znanego miljonera Franka Starrsa.

Powodem tego strasznego wypadku jest niedokładność planu i niedokładna, niedbała budowa.

Załączony obok rysunek przedstawia jeden z nowojorskich drapaczów nieba.

NAWRÓCONY.

Bolesław Prus.

Pan Łukasz siedział zamyślony.

Był to starzec wysoki, chudy, pochylony. Liczył około siedemdziesięciu lat i miał czarne, dosyć gęste włosy, upstrzone siwymi kosmykami. Nie posiadał ani jednego zęba, a śpiczasta broda zbiegała mu się z hakowatym nosem, co fizyognomii starca nie nadawało przyjemnego wyrazu. Okrągłe, zapadnięte oczy, a nad niemi brwi krzaczaste — żółta, pomarszczona skóra na twarzy i lekkie trzęsienie głowy nie robiły go piękniejszym.

Siedział w pokoju dużym, od kilkunastu lat nieoczyszczanym, zapchanym sprzętami. Były tam staroświeckie szafy i komody, ozdobione bronzami, były duże fotele, na których mole skórę zjadły, wyścielane krzesła zapomnianych form i obszerne kanapy z powyginanemi poręczami. Na ścianach, zasnutych pajęczyną, wisiały sczerniałe obrazy, na komodach i biurkach stały posążki i zegary, o tyle pokryte warstwą kurzu, że delikatniejsze ich linie i powierzchnie znikły.

Prócz tego, największego, były jeszcze dwa pokoje mniejsze, tak już zapełnione gratami, że chodzenie po nich przedstawiało pewne trudności. Graty owe, niepodobne jedne do drugich, ustawione nieporządnie, ściśnięte, próchniejące, wyglądały tak, jak gdyby z różnych stron świata spędzono je do wspólnego grobu.

Były między nimi niektóre posiadające wielką wartość archeologiczną, niektóre uderzające pięknością, inne — rozmiarami i dokładnością wyrobu, a jeszcze inne nie warte, jak to mówią, funta kłaków. Nie mniejszą rozmaitością odznaczało się pochodzenie ich. Jedne pan Łukasz odziedziczył, drugie kupił u antykwarjuszów albo na licytacji za marne pieniądze, trzecie darowano mu, jako miłośnikowi osobliwości, inne zabrał swoim dłużnikom i niewypłacalnym lokatorom. I wszystko to zwłóczył do mieszkania, zapychał tem każdy kąt wolny, przedmioty drobniejsze zawieszał albo ustawiał w szafach i komodach, przedmioty tańsze wynosił na strych, słowem gromadził bez wyboru, ładu i końca, nie zadawszy nawet sobie przez siemdziesiąt lat pytania; w jakim celu robi to, co mu z tego przyjdzie?

Istnieje wodorost, pochodzący, jak mówią, z Ameryki, który odznacza się takiem łakomstwem i tak szybkim rozwojem, że gdyby go nie wytępiano, zapchałby sobą wszystkie rzeki, stawy i jeziora na świecie, zagarnąłby każdy cal ziemi wilgotnej, pochłonąłby wszystek węgiel z powietrza, zdusiłby wszelkie inne wodorosty, nie przez zawiść, złość, lub przez brak poszanowania cudzych praw, ale tak sobie, z wrodzonego popędu.

Pan Łukasz był podobną istotą w rodzaju ludzkim. Przyniósłszy na świat instykt zagarniania wszystkiego, co się da, nie myślał o celu swych działań, nie zdawał sobie sprawy ze skutków, tylko... zagarniał. Głuchy na krzyk cierpień i klątw, obojętny dla nieszczęść, jakie wytwarzał, skromny w użyciu, krzywdził ludzi na prawo i na lewo, sam nic osobliwego nie zaznał, tylko chwytał i gromadził. Postępowanie to nie przynosiło mu żadnego szczególnego zadowolenia, lecz zaspokajało ślepy instynkt.

Będąc jeszcze dzieckiem, Łukaszkiem, wydrwiwał on od swoich rowieśników zabawki, spędzał ich z miejsc cieplejszych na piasku, objadał się do niestrawności i napełniał kieszenie, byle z jego porcji nie dostało się co rodzeństwu. Będąc uczniem, pracował dnie i noce, byle otrzymać najwyższe możliwe nagrody i jeszcze gryzł się, że, pomimo to, inni nagrody dostają.

Jako młodzieniec, wstąpił do biura i tam chciał pełnić wszystkie urzędy, wykonywać wszystkie prace, zabierać wszystkie pensje i łaski zwierzchników. Nareszcie ożenił się z najładniejszą i bogatą panną, nie z miłości ale dlatego, ażeby kto inny jej nie dostał. I jeszcze niezadowolony ze swego losu, chciał bałamucić żony kolegom i znajomym.

Wszelako w tej epoce życia zetknął się z poważnemi przeszkodami. Koledzy biurowi chętnie odstępowali mu referaty, ale mocno bronili swoich tytułów i pensji. Zwierzchnicy chętnie posługiwali się nim, ale łask skąpili. Nareszcie panie, do których umizgał się, drwiły z niego, że był brzydki, a mężowie ich za natręctwo często urządzali Łukaszowi bolesne manifestacje.

Dzięki tak gorzkim naukom, pan Łukasz przestał dążyć do zagarnięcia wszystkiego, co jest pod słońcem, ale ograniczył się do rzeczy możliwych i najbliższych. Gromadził więc sprzęty, książki, odzież, rozmaite osobliwości, a nadewszystko — pieniądze.

W gonitwie za posiadaniem bynajmniej nie myślał o używaniu. Mieszkania nie odnawiał, sługi nie trzymał, jadał w najlichszych restauracjach, rzadko kiedy doróżką jeździł, raz na kilka lat w teatrze bywał i nigdy nie leczył się, z powodu wstrętu do płacenia honorarjów lekarzom.

Żona jego rychło zmarła, zostawiwszy mu kamienicę i córkę. Pan Łukasz córkę wychował jako tako i najśpieszniej wydał ją za mąż. Ale ani wesela nie sprawił, ani obiecanego posagu nie wypłacił, ani nawet kamienicy matczynej nie zwrócił. W końcu nieznośnym uporem sprawił to, że zięć wytoczył mu proces o zwrot domu. Sprawa była czysta i pan Łukasz przegrać musiał, ale dobrowolnie nie chciał ustąpić. Będąc zasobnym i bardzo biegłym w prawie, wynajdywał mnóstwo wykrętów i działał na zwłokę, w czem dzielnie pomagał mu pan Kryspin, stary adwokat. Kryspin stracił już praktykę, ale z nałogu wyszukiwał sobie klientów z najbrudniejszemi sprawami i prowadził ich procesy za liche wynagrodzenie, albo nawet darmo. Byle nie zaśniedzieć!

Przez jakiś czas pan Łukasz miał rozrywkę. Oto z kilkoma starymi sędziami, z pewnym prokuratorem i z adwokatem Kryspinem schodzili się codzień na preferansa i przy dwu stolikach grali o liczmany. Trwało to ze dwadzieścia lat, ale w końcu urwało się. Sędziowie i prokurator zmarli i został tylko pan Łukasz z adwokatem. Ponieważ zaś we dwu przyzwoitej gry urządzić nie mogli, a o tak dobrane towarzystwo, jak niegdyś, było im obecnie trudno, więc obaj zarzucili preferansa. Pocieszali się tylko nadzieją, że prędzej lub później połączą się w niebie ze zmarłymi towarzyszami i tam przy dwu stolikach grać będą całą wieczność.

Siedział tedy pan Łukasz na kanapie, z której w jednym rogu włosień wyłaził, splótł kościste dłonie, oparł je na kolanach, które ostro zarysowały się na starym watowanym szlafroku, machinalnie poruszał zapadłemi ustami, trząsł głową i wciąż myślał.

Miał sporo kłopotów.

W dniu jutrzejszym przypadała w sądzie sprawa jego z córką o kamienicę, a tu, jakby na nieszczęście, adwokat Kryspin wyjechał z Warszawy. Może nie wróci na czas i przegra ?...

Byłby to dla pana Łukasza silny cios pod wieloma względami. Naprzód musiałby oddać córce dom, on, który tylko brać lubił. A powtóre — kto wie, czy córka, którą ojciec rzucił na pastwę niedostatkowi, nie zechce mścić się i nie każe płacić sobie za komorne ?...

— Eh! chyba nie zrobi tego — szepnął Łukasz.— Ona zawsze była dobrym dzieckiem . . . Ale zresztą — dodał z westchnieniem — i to być może. Dzisiejszy świat taki chciwy!...

Pan Łukasz z rana posłał do kancelarji Kryspina list z zapytaniem: kiedy adwokat wraca?

Tymczasem nie odebrał odpowiedzi.

— Co to może znaczyć ?...

Taki był pierwszy kłopot, wcale nie największy. Jutro bowiem przypadała licytacja na ruchomości pewnego stolarza, który mieszkał w domu Łukasza i za kwartał komornego nie zapłacił. Otóż frasował się znowu pan Łukasz: czy niesumienny lokator nie ukrył czego i czy licytacja pójdzie o tyle dobrze, aby on odzyskał należność za komorne i jeszcze na koszta procesu.

Z tą licytacją była prawdziwa heca.

Dzień w dzień przychodził do pana Łukasza ktoś z familji stolarza, upadał mu do nóg i błagał jeżeli nie o darowanie długu, to przynajmniej o prolongatę. Płakano przytym i mówiono, że stolarz jest ciężko chory i że licytacja zabić go może...

Ale pana Łukasza takie rzeczy nie obchodziły. On myślał raczej o tem, że paru dobrych lokatorów miało zamiar wyprowadzić się z jego domu i że już jeden lokal od dwu tygodni stał pustką. Niepoczciwi ludzie oczerniali pana Łukasza. Mówili, że jest chciwy, zły ojciec, zły gospodarz, i że, chociaż na piersiach nosi trzydzieści tysięcy rubli listami zastawnymi, przecież nie chce odnawiać mieszkań i zarywa lokatorów, o ile się da. Z tego powodu tylko w ostateczności najmowano lokale w jego domu.

C. d. n.



Most w Bruklinie.

ANEGDOTY
z życia
ADAMA MICKIEWICZA.

Podczas pobytu w Wejmarze, jeden z przybyłych gości, Francuz, w rozmowie z Mickiewiczem, którego pierwszy raz widział przy stole w restauracji, a wiedział tylko, że jest Polakiem, zaczął go się dopytywać o wielkiego poetę polskiego, którego dzieła wyszły właśnie w Paryżu. Mickiewicz wyliczał mu różne nazwiska, co Francuza widocznie niecierpliwiło.

— Ależ nie, nie, to nie to nazwisko! Mik... Mis... Mit... To ten wasz wielki poeta.

Mickiewicz mrugnął na Odyńca, żeby nic nie mówił, i po krótkiej jeszcze rozmowie, pożegnawszy się wyszedł; odezwawszy się po polsku do przyjaciela, że będzie na górze.

— A! to i pan Polak? zapytał Odyńca zaperzony Francuz — czy i pan także niewiesz imienia największego swego poety?

— Pan chceż mówić zapewnie o Adamie Mickiewiczu?

— Tak, tak, właśnie o nim chciałem mówić.

— To właśnie ten, który w tej chwili wyszedł.

— Francuz zerwał się jak oparzony i zaczerwienił cały jak burak, ale nie tylko nie obraził się o żarcik, lecz pobiegł natychmiast przedstawić się poecie.

✶

PRZYSŁOWIA JAPOŃSKIE.

Okręt który ma zbyt wielu kapitanów — rozbija się najczęściej o skały.

Żyj w spokoju, myśl jednak o wojnie.

Lepiej być dziobem koguta, nizli ogonem byka.

Zbytek jest tym samym co brak.

Ubożejesz — głupiejesz.

Żaba, siedząca w studni, nie może wiedzieć, czym jest ocean.

Zapytać — wstyd chwilowy, nie wiedzieć — wstyd wieczny.



Żołnierze polscy.